



MIA SHERIDAN

BEZ SŁÓW

CZASEM SŁOWA SĄ NIEPOTRZEBNE,
BY WYRAZIĆ TO, CO KRYJE SIĘ W SERCU

10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

MIA SHERIDAN

BEZ
SŁÓW

TŁUMACZENIE MARTYNA TOMCZAK



OTWARTE

KRAKÓW 2016

Tytuł oryginału: *Archer's Voice*

Copyright © 2014 by Mia Sheridan

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Opieka redakcyjna: Kinga Kasperek

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Iwona Boruszkowska, Joanna Mika

Łamanie: Agnieszka Szatkowska

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: mężczyzna – © DIOMEDIA / FPM, krajobraz –
© iStockphoto.com / stockstudioX, drzewa – © iStockphoto.com / wolv

Fotografia autorki: © Jenny Gaskins / Jenny G Photography

ISBN 978-83-7515-387-3



OTWARTE
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

*Dedykuję tę książkę moim chłopakom:
Jackowi, Cade'owi i Tylerowi.
Potrzebujemy dobrych ludzi i jestem dumna,
że powołałam na świat trzech z nich.
Niech żyją bracia!*

LEGENDA O CENTAURZE CHIRONIE

Mityczne centaury znane były ze swoich wybryków: skłonności do pijaństwa i głośnego, lubieżnego zachowania. Chiron różnił się jednak od reszty – mówiono o nim „dobry centaur” i „zraniony uzdrowiciel”, był bowiem mądrzejszy i łagodniejszy od większości swoich pobratymców.

Niestety jego przyjaciel Herakles podczas walki z pozostałymi centaurami przez przypadek ugodził go zatrutą strzałą. Ponieważ Chiron był nieśmiertelny, żył odtąd dręczony nieustannym bólem.

Pewnego dnia centaur natknął się na Prometeusza przywiązanego do skały, który również cierpiał katusze. Bogowie skazali go na wieczne tortury i codziennie rano zsyłali orła, aby wyjadał mu wątrobę, co wieczór zaś wątroba odrastała.

Chiron z własnej woli oddał Prometeuszowi swoje życie, uwalniając ich obu od cierpienia. W nagrodę za dobroć i wierną służbę Zeus umieścił go na nieboskłonie jako gwiazdozbiór Strzelca, tak by już zawsze patrzący w niebo mogli podziwiać jego piękno.

Rana Chirona symbolizuje transformatywną moc cierpienia – sposób, w jaki ból, fizyczny lub emocjonalny, może stać się źródłem wielkiej siły moralnej oraz duchowej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Archer – lat siedem, kwiecień

– Złap mnie za rękę! Trzymam cię – szepnąłem.

Helikopter wystartował. Duke mocno ścisnął dłoń Snake Eyesa. Staralem się zachowywać jak najciszej – mama znów źle się czuła. Spała w swoim pokoju i nie chciałem jej budzić. Poprosiła, żebym pooglądał z nią bajki, ale kiedy po chwili zasnęła, poszedłem na dół pobawić się figurkami G.I. Joe.

Helikopter wylądował. Chłopaki zeskoczyły i wbiegły pod krzesło, które wcześniej przykryłem ręcznikiem, żeby zrobić z niego fort. Helikopter uniósł się ponownie – łup, łup, łup. Jak dobrze byłoby pstryknąć palcami i sprawić, żeby stał się prawdziwy. Wtedy zabrałbym mamę i odlecielibyśmy razem – daleko od niego, od jego czarnych oczu i od jej łez. Nieważne gdzie, byle daleko, daleko stąd.

Wczołgałem się do fortu. Kilka minut później usłyszałem odgłos otwieranych drzwi wejściowych, a potem ciężkie kroki w przedpokoju, które zbliżały się do miejsca, gdzie się

bawiłem. Wyrząłem i mój wzrok natrafił na parę lśniących czarnych butów i nogawki spodni od munduru.

Natychmiast wygramoliłem się na zewnątrz.

– Wujek Connor! – zawołałem, a on ukląkł obok. Rzuciłem mu się w ramiona, starając się nie nadziać na wiszący u jego boku pistolet ani policyjną latarkę.

– Cześć, smyku – powiedział, tuląc mnie. – Jak tam mój dzielny ratownik?

– Dobrze. Widziałeś fort? – Odchyliłem się i z dumą pokazałem mu schron skonstruowany pod stołem z koców i ręczników. Fajny był.

Wujek Connor zerknął na niego z uśmiechem.

– Pewnie. Dobrze się spisałeś, Archer. W życiu nie widziałem tak pancерnej forticy. – Puścił do mnie oko.

– Pobawisz się ze mną? – zapytałem.

Zmierzył mi włosy.

– Nie teraz, zuchu. Później, okej? Gdzie mama?

Poczułem, jak uśmiech schodzi mi z twarzy.

– Ee... nie za dobrze się czuje. Położyła się.

Spojrzenie miodowych oczu wujka przywiodło mi na myśl niebo przed burzą: było ciemne i trochę straszne. Zrobiłem krok w tył, a wtedy on rozpozgodził się, przyciągnął mnie do siebie i uściskał.

– Już dobrze, Archer, już dobrze. – Odsunął mnie i chwycił za ramiona, przyglądając mi się bacznie.

– Wiesz, że masz uśmiech swojej mamy?

Uśmiechnąłem się szerzej. Uwielbiałem jej uśmiech – był ciepły i piękny, sprawiał, że czułem się kochany.

– Ale wyglądam jak tata. – Spuściłem wzrok. Wszyscy powtarzali, że wdałem się w Hale'ów.

Przypatrywał mi się przez chwilę, zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu zmienił zdanie.

– Nic tylko się cieszyć, zuchu. Twój tata jest przystojny jak sam diabeł. – Wyszczrzył zęby, ale jego spojrzenie pozostało poważne.

Przyjrzałem mu się. Tak bardzo chciałem być do niego podobny. Mama powiedziała mi kiedyś, że wujek Connor to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Chwilę potem na jej twarzy malował się wstyd, jakby uważała, że nie powinna mówić takich rzeczy – pewnie dlatego że wujek Connor nie był moim tatą. Był za to policjantem. Bohaterem. Wiedziałem, że chcę wyrosnąć na kogoś takiego jak on.

Wstał.

– Zajrzę i sprawdzę, czy mama nie śpi. Pobaw się tu, a ja zaraz wrócę. Zgoda, zuchu?

– Zgoda. – Pokiwałem głową.

Wujek znów potargał mi włosy, a potem ruszył w stronę schodów. Oczekałem kilka minut i cichutko poszedłem za nim. Starannie omijałem skrzypiące deski i mocno trzymałem się poręczy. Potrafiłem poruszać się po domu tak, żeby nikt mnie nie usłyszał. To było bardzo ważne.

Kiedy dotarłem do szczytu schodów, przyczałem się pod drzwiami pokoju mamy. Były ledwo uchylone, ale to wystarczyło.

– Naprawdę, Connor, wszystko jest w porządku – dobiegł mnie jej miękki głos.

– Nic nie jest w porządku, Alysso – syknął wujek. Głos zalał mu się w sposób, który przejął mnie strachem. – Chryste, chyba go zabiję. Dość tego, Lys. Przestań robić z siebie męczennicę. Może ci się zdaje, że na to zasłużyłaś, ale Archernie zaszły. – Te trzy ostatnie słowa wyrzucił z siebie twardo i wiedziałem, że zaciska zęby. Widywałem go już wcześniej w takim stanie. Zazwyczaj wtedy, gdy w pobliżu był tata.

Przez kilka chwil dobiegał mnie tylko cichy płacz mamy. Kiedy wujek Connor znów się odezwał, jego głos brzmiał dziwnie, był wyprany z emocji.

– Chcesz wiedzieć, gdzie on jest? Prosto z baru polazł do przyczepy Patty Nelson. Grzmoci ją teraz na wszystkie strony. Przejeżdżałem tamtędy i słyszałem ich aż z samochodu.

– Boże, Connor – odpowiedziała mama zdławionym szlochem. – Musisz jeszcze wszystko pogarszać...

– Nie! – huknął, aż podskoczyłem. – Nie – powtórzył ciszzej. – Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że wystarczy już tego. D o s y ć. Jeśli ci się wydaje, że masz coś do odpokutowania, to już odpokutowałaś. Nie rozumiesz? Osobiście uważam, że to twój wymysł, ale dobra, niech ci będzie, zadośćuczyniłaś wszystkim krzywdom, Lys. I to dawno temu. A teraz każde z nas przez to cierpi. Rany boskie, chcesz wiedzieć, jak się czułem, kiedy usłyszałem te odgłosy z przyczepy? Miałem ochotę tam wpaść i sprać go na kwaśne jabłko za to, jak cię upokarza, za ten brak jakiegokolwiek szacunku. A najbardziej porąbane jest to, że powinienem się cieszyć, że jest z kimś innym, k i m k o l w i e k, tylko nie z kobietą, na punkcie której tak mi odbiło, że nie ma na to lekarstwa. Ale nie. Chce mi się rzygać, Lys, bo on traktuje cię jak śmiecia. Chociaż gdyby traktował cię dobrze, to by oznaczało, że ja już nigdy nie mógłbym cię mieć.

Przez kilka minut było cicho. Miałem ochotę zajrzeć do środka, ale się powstrzymałem. Słyszałem tylko chlipanie mamy i jakieś szelesty.

Potem wujek Connor znów się odezwał, tym razem miękko i czule:

– Lys, kochanie, proszę, pozwól mi cię stąd zabrać. Będę was chronił, ciebie i Archera. Proszę. – Jego głos przepęniało

coś, czego nie potrafiłem nazwać. Aż wstrzymałem oddech. Wujek chce nas stąd zabrać?

– A co z Tori? – szepnęła mama.

Odpowiedział dopiero po chwili:

– Powiem Tori, że odchodzę. Musi się w końcu dowiedzieć. Zresztą, od lat nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem. W końcu zrozumie.

– Nie zrozumie, Connor. – W głosie mamy pobrzmiewał strach. – Nie zrozumie. Jakoś się odegra. Zawsze mnie nienawidziła.

– Alysso, nie jesteśmy już dziećmi. To nie są jakieś durne zawody. Chodzi o prawdziwe życie. O to, że cię kocham. I o to, że zasługujemy na to, by być razem. Chodzi o mnie, o ciebie i o Archera.

– A Travis? – zapytała mama.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wszystko załatwię z Tori – powiedział wujek. – O nic się nie martw.

Mama odezwała się po kilku sekundach:

– A twoja praca, całe to miasto...

– Alysso – przerwał jej łagodnie wujek Connor. – To wszystko nie jest ważne. Bez ciebie nic nie ma dla mnie znaczenia. Jeszcze tego nie wiesz? Zwolnię się z pracy, sprzedam ziemię. Będziemy szczęśliwi. Daleko stąd, z dala od tego miejsca. Gdzieś tam zbudujemy własny dom. Nie chcesz tego, kochanie? Powiedz, że chcesz.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerywały tylko jakieś delikatne odgłosy, które brzmiały trochę jak pocałunki. Już wcześniej widywałem, jak się całowali, kiedy mama nie zdawała sobie sprawy, że jestem obok, zupełnie tak jak teraz. Wiedziałem, że to niewłaściwe – mamy nie powinny całować panów, którzy nie byli ich mężami. Wiedziałem jednak

również, że tatusiowie nie powinni wracać pijani do domu i bić swoich żon po twarzy, a mamy nie powinny spoglądać na wujków tak czule, jak moja spoglądała zawsze na wujka Connora. To wszystko było strasznie trudne i pogmatwane, nie byłem pewien, jak dojść z tym do ładu. Właśnie dlatego ich śledziłem: próbowałem coś z tego zrozumieć.

Zdawało mi się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim mama odezwała się ledwo słyszalnym szeptem:

– Tak, Connor, zabierz nas stąd. Daleko, jak najdalej. Będziemy tylko ty, ja i Archer. Spróbujemy być szczęśliwi. Pragnę tego. I ciebie. Tylko ciebie, od zawsze.

– Lys... Lys... Moja Lys – wykrztusił wujek Connor, oddychając ciężko.

Wycofałem się i zszedłem po schodach, bezszelestnie, w milczeniu, omijając skrzypiące miejsca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bree

Zarzuciłam plecak na ramię, sięgnęłam po stojący na fotelu pasażera niewielki psi transporter i zamknęłam za sobą drzwi samochodu. Przez chwilę stałam nieruchomo, wsłuchana w echo odbijające poranne cykanie świerszczy na tle cichego szumu drzew. Niebo było intensywnie niebieskie, a zza stojących przede mną chatek błyskała tafla jeziora. Mrużąc oczy, spojrzałam na biały domek, w którego oknie wciąż widniała tabliczka z napisem „do wynajęcia”. Był wyraźnie starszy od pozostałych, lekko zaniedbany, miał jednak swój urok i od razu mi się spodobał. Wyobraziłam sobie, jak przesiaduję wieczorami na małym ganku i patrzę na kołysane wiatrem gałęzie drzew i wschodzący nad jeziorem księżyc, jak wdycham zapach wody i sosnowych igieł. Uśmiechnęłam się pod nosem z nadzieją, że dom okaże się równie uroczy wewnątrz lub że przynajmniej zastanę tam względny porządek.

– Co ty na to, Phoebis? – zapytałam cicho. Z transportera dobiegło pełne uznania sapnięcie.

– Też tak myślę – stwierdziłam.

Obok mojego volkswagena zaparkował wysłużony sedan. Wsiadł z niego starszy, łysiejący mężczyzna.

– Bree Prescott?

– To ja. – Zbliżyłam się z uśmiechem i uściśnięła mu dłoń. – Pan Connick, prawda? Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

– Proszę, mów mi George. – Spojrzał na mnie wesoło i oboje ruszyliśmy w stronę chatki, wzbijając w górę pył i sosnowe igły. – Nie ma sprawy. Jestem już na emeryturze, więc nie mam napiętego grafiku. – Wspięliśmy się na ganek po trzech drewnianych schodkach. George wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać właściwego. – Proszę bardzo. – Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Za progiem powitał mnie zapach kurzu i stęchlizny. Rozejrzałam się.

– Żona wpada tu, kiedy tylko może, żeby zrobić małe porządki, ale jak widzisz, przydałoby się przejechać ścierką tu i tam. Normie, biedacze, wlaźł artretyzm w biodro, więc nie zasuwa już tak jak kiedyś. A dom całe lato stał pusty.

– Jest w porządku. – Uśmiechnęłam się do niego, stawiając przy drzwiach transporter z Phoebe, po czym ruszyłam w stronę pomieszczenia, które zidentyfikowałam jako kuchnię.

Wnętrze wymagało gruntownych porządków, ale spodobało mi się od razu. Było staroświeckie i pełne uroku. Gdy uniosłam kilka pokrowców, okazało się, że ukryte pod nimi meble, choć podniszczone, są gustowne. Zwróciłam uwagę na piękną podłogę z szerokich drewnianych desek i subtelne, uspokajające kolory ścian.

Sprząty kuchenne wydały mi się nieco przedpotopowe, ale nie miałam wielkich wymagań. Nie byłam pewna, czy jeszcze kiedykolwiek wrócę do gotowania.

– Z tyłu domu jest sypialnia i łazienka... – zaczęła objaśniać George.

– Biorę – przerwałam mu, po czym roześmiałam się i lekko potrząsnęłam głową. – To znaczy oczywiście jeśli oferta jest wciąż aktualna.

George zachichotał.

– Świetnie. Przyniosę z samochodu umowę najmu i możemy zaraz wszystko załatwić. Kaucja to czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc, ale jeśli to problem, możemy negocjować.

Pokręciłam głową.

– Żaden problem. Brzmi w porządku.

– W takim razie zaraz wrócę.

Kiedy wyszedł, zjrzałam do sypialni i łazienki. Były niewielkie, ale zupełnie wystarczające. W sypialni moją uwagę przykuło duże okno wychodzące na jezioro. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok małej przystani wcinającej się w taflę wody – spokojną, lśniąca, oszałamiająco niebieską w jasnym świetle poranka.

W oddali kołysały się dwie łódki – małe punkciki na horyzoncie.

Kiedy tak patrzyłam, niespodziewanie zachciało mi się płakać, ale nie ze smutku – z r a d o ś c i. To uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło, pozostawiając we mnie dziwną nostalgię, której absolutnie nie potrafiłam wytłumaczyć.

– Proszę bardzo. – Głosowi George’a Connicka towarzyszył szczeł zamykanych drzwi.

Wyszłam z sypialni, gotowa zająć się papierami, które sprawią, że przynajmniej na jakiś czas nazwę to miejsce domem – i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że odnajdę tu nieco spokoju.

Norma Connick zostawiła w chatce cały arsenał środków czyszczących, więc wytaszczyłam walizkę z samochodu i od razu zabrałam się do roboty. Trzy godziny później odgarnęłam z oczu wilgotny kosmyk włosów i cofnęłam się o kilka kroków, by podziwiać swoje dzieło. Drewniane podłogi były odkurzone, znalezione w szafie w przedpokoju pościel i ręczniki – wyprane i wysuszone w małej pralce ustawionej obok kuchni, a łóżko pościelone. Kuchnia i łazienka lśniły, a przez pootwierane na oścież okna wpadał do środka letni wietrzyk znad jeziora. Być może nie zagrzeję tu miejsca, ale na razie byłam zadowolona.

Wyciągnęłam z walizki wrzucone tam byle jak kosmetyki i ustawiłam je w szafce nad umywalką, po czym wzięłam długi, chłodny prysznic, by zmyć z siebie znużenie i brud po długich porządkach i jeszcze dłuższej jeździe samochodem. Podzieliłam szesnastogodzinną podróż z mojego rodzinnego Cincinnati w Ohio na dwa odcinki. Pierwszą noc spędziłam w niewielkim przydrożnym motelu, drugą zaś za kierownicą, by rano być już na miejscu. Dzień wcześniej zatrzymałam się w małej kafejce internetowej w Nowym Jorku, żeby poszukać nieruchomości do wynajęcia w mieście, do którego jechałam. Okazało się, że to popularny ośrodek turystyczny, w związku z czym po ponad godzinie poszukiwań najbliższym punktem, w którym udało mi się coś znaleźć, było niewielkie miasteczko Pelion położone po drugiej stronie jeziora.

Wytarłam się, założyłam czyste szorty i T-shirt, i postanowiłam zatelefonować do mojej przyjaciółki Natalie. Odkąd napisałam, że wyjeżdżam, próbowała dodzwonić się do mnie kilka razy, a ja odpowiadałam tylko esemesami. Byłam jej winna prawdziwą rozmowę.

– Bree? – odezwała się Nat. W tle brzęczały czyjeś donośne głosy.

– Hej, Nat. Przeszkadzam?

– Czekaj. Wyjdę na zewnątrz. – Przykryła dłonią mikrofon, rzuciła do kogoś kilka słów i wróciła na linię. – Nie, skąd! Strasznie chciałam z tobą pogadać! Jestem na lunchu z mamą i ciocią. Poczekają parę minut. Martwiłam się. – W jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

Westchnęłam.

– Wiem, przepraszam. Jestem w Maine. – W esemesie, który do niej wysłałam, napisałam, dokąd jadę.

– Bree, wyjechałaś tak bez słowa. Zdążyłaś się chociaż spakować?

– Wzięłam parę rzeczy. Wystarczy.

Prychnęła.

– W porządku. Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Pomyślałam, że zostanę tu jakiś czas. Tak czy siak, Nat, nie mówiłam ci, ale trochę brakuje mi forsy. Właśnie sporo wydałam na depozyt za mieszkanie. Muszę poszukać roboty, przynajmniej na parę miesięcy, żeby zarobić na podróż do domu i mieć za co żyć po powrocie.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie sądziłam, że jest aż tak źle – powiedziała w końcu Nat. – Ale Bree, skarbie, masz przecież dyplom. Wracaj do domu i wykorzystaj go. Nie musisz się włóczyć po jakimś mieście, w którym nie znasz żywej duszy. Już za tobą tęsknię. Masz przyjaciół. Pozwól sobie pomóc. Kochamy cię. Mogę ci przesłać trochę pieniędzy, jeśli dzięki temu szybciej wrócisz.

– Nie, nie, Natalie. Naprawdę... Potrzebuję czasu, okej? Wiem, że mnie kochasz. Wiem – powiedziałam cicho. – Ja ciebie też. Ale po prostu muszę to zrobić.

Znów zapadła cisza.

– Czy to przez Jordana?

Przygryzłam wargę.

– Nie, nie tylko. Może to była kropla, która przepełniła czarę, ale nie, nie uciekam przed Jordanem. Chociaż jego zachowanie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam. Po prostu... nie mogłam już tego wszystkiego wytrzymać. Rozumiesz?

– Kochanie, na twoim miejscu k a ż d y miałyby dosyć.

Gdy nie odpowiedziałam, westchnęła i dodała:

– Czy mam rozumieć, że ta dziwaczna, spontaniczna wy-cieczka ci pomaga? – Poznałam po głosie, że się uśmiecha.

Zaśmiałam się cicho.

– W pewnym sensie może i tak. W innym, jeszcze nie.

– Czyli nie przeszło ci? – szepnęła.

– Nie, Nat, jeszcze nie. Ale podoba mi się tutaj. Naprawdę – zapewniłam ją, siłą się na zdecydowany ton.

– Skarbie – odezwała się po chwili. – Tu chyba chodzi o coś więcej niż zmianę otoczenia, prawda?

– Po prostu miałam ochotę gdzieś się zaszyć na jakiś czas... Rany, muszę kończyć. Mama i ciocia na ciebie czekają. Pogadamy innym razem.

– Dobrze – zgodziła się z wahaniem. – Ale jesteś bezpieczna?

Umilkłam. Czy jeszcze kiedykolwiek poczuję się bezpieczna?

– Tak, a tu jest przepięknie. Znalazłam domek nad samym jeziorem. – Odwróciłam głowę i zerknęłam w okno, po raz kolejny napawając się cudownym widokiem.

– Mogę wpaść z wizytą?

Uśmiechnęłam się.

– Najpierw muszę się tu trochę urządzić. Może za jakiś czas, zanim zacznę się zbierać do powrotu?

- Okej, umowa stoi. Naprawdę za tobą tęsknię.
- Ja też. Niedługo zadzwonię, dobrze?
- Dobrze. Pa, kochana.
- Pa, Nat.

Rozłączyłam się i podeszłam do okna. Zaciągnęłam rolety w mojej nowej sypialni i wgramoliłam się na świeżo posłane łóżko. Phoebe zwinęła się w kłębek obok moich stóp. Zasnęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki.

*

Obudził mnie szczebiot ptaków i szum fal uderzających o brzeg. Przekręciłam się na bok i spojrzałam na zegar. Minęła osiemnasta. Przeciągnęłam się i usiadłam.

Potem wstałam i ruszyłam do łazienki. Phoebe podrepotała za mną. Wyszczotkowałam zęby i wyplukałam usta, po czym przejrzałam się w lustrze przymocowanym do szafki nad umywalką. Cienie pod oczami nie zniknęły, choć po pięciu godzinach snu były nieco mniej widoczne. Kilka razy uszczypnęłam się w policzki, żeby nabrały trochę koloru, wyszczerzyłam zęby w szerokim, sztucznym uśmiechu i potrząsnęłam głową. Poradzisz sobie, Bree. Jesteś silna i jeszcze będziesz szczęśliwa. Słyszysz? W tym miejscu jest dobra energia. Czujesz to? Przekrzywiłam głowę i jeszcze przez chwilę przyglądałam się swojemu odbiciu. Mnóstwo ludzi dodaje sobie animuszu przed lustrem w łazience, prawda? To najzupełniej normalne. Prychnęłam cicho i lekko pokręciłam głową. Przemyślałam twarz, po czym szybkim ruchem spięłam długie jasnobrązowe włosy w niedbały węzeł na karku.

Weszłam do kuchni i otworzyłam zamrażarkę. Wyjeżdżając z domu, zabrałam ze sobą szczątkowe zapasy, które znalazłam w lodówce: kilka dań do odgrzania w mikrofalach,

mleko, masło orzechowe, chleb i trochę owoców. I pół torby psiego jedzenia dla Phoebes. Wystarczy na kilka dni, potem będę musiała poszukać najbliższego spożywczaka.

Włożyłam porcję makaronu z sosem do stojącej na blacie mikrofalówki, a potem zjadłam go na stojąco plastikowym widelcem. Jedząc, wyglądałam przez kuchenne okno i w pewnym momencie zauważyłam starszą panią w błękitnej sukience i z krótkimi siwymi włosami, która wyszła z sąsiedniego domu i zbliżała się do mojego ganku z koszykiem w rękach. Kiedy usłyszałam ciche pukanie do drzwi, wyrzuciłam puste już pudełko do śmietnika i poszłam otworzyć.

Starsza pani uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

– Dzień dobry, kochanie. Nazywam się Anne Cabbott. Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadkami. Witaj w naszej okolicy.

Odwzajemniłam uśmiech i przyjęłam koszyk.

– Bree Prescott. Dziękuję. To bardzo miłe. – Uniosłam róg serwetki i poczułam słodki zapach babeczek jagodowych. – O rany, pachną wspaniale – zachwyciłam się. – Może pani wejdzie?

– Właściwie to chciałam zapytać, czy nie napiłabyś się mrożonej herbaty u mnie na ganku.

– O... – Zawahałam się. – Dobrze, oczywiście. Tylko założę buty.

Cofnęłam się do wnętrza domu, odłożyłam babeczki na kuchenny blat i wróciłam do sypialni po klapki.

Anne czekała na mnie na skraju ganku.

– Taki piękny wieczór. Codziennie staram się korzystać z tej pory roku i spędzać czas na zewnątrz. Niedługo zaczniemy narzekać na chłód.

Ruszyliśmy w stronę jej domu.

– A więc mieszka tu pani przez cały rok? – zapytałam.

Skinęła głową.

– Jak większość ludzi po tej stronie jeziora. Turyści nie interesują się naszym miasteczkiem. To tam mają wszystkie atrakcje. – Machnęła ręką w stronę ledwo widocznych zabudowań na przeciwległym brzegu. – Większości z nas to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Oczywiście wkrótce się to zmieni. Victoria Hale, właścicielka terenów miasteczka ma plany rozbudowy, które i tutaj ściągną stada turystów. – Westchnęła.

Wspięliśmy się po schodkach na ganek. Anne usiadła w fotelu z wikliny, a ja wybrałam dwuosobową huśtawkę i wygodnie ulokowałam się na poduszkach.

Ganek był piękny i przytulny, królowały tam białe wyplatanе meble i niebiesko-żółte poduszki. Wszędzie stały donice, z których wylewały się bujne kaskady petunii.

– Co pani sądzi o pomysłе sprowadzenia tu turystów?

Anne lekko zmarszczyła brwi.

– Lubię nasze ciche miasteczko. Jak dla mnie mogą sobie zostać tam, gdzie są. Wystarczą mi ludzie, którzy pojawiają się tu przejazdem. Poza tym podoba mi się atmosfera prowincji. Podobno mają tu budować osiedle apartamentowców, a to oznacza koniec dla naszych małych domków.

Skrzywiłam się.

– Przykro mi – powiedziałam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że będzie musiała się wyprowadzić.

Anne lekceważąco machnęła ręką.

– Bardziej martwię się o właścicieli małych sklepików, którzy będą musieli zamknąć interes.

Pokiwałam głową. Po chwili milczenia powiedziałam:

– Jako mała dziewczynka byłam raz z rodzicami na wakacjach po drugiej stronie jeziora.

Anne sięgnęła po dzbanek z herbatą, napełniła dwie szklanki i podała mi jedną.

– Naprawdę? A teraz co cię tu sprowadza?

Upiłam łyk, by zyskać na czasie.

– Wybrałam się na małą wycieczkę – powiedziałam. – Pamiętam, że bardzo mi się tu podobało. – Wzruszyłam ramionami i spróbowałam się uśmiechnąć, choć wzmianka o rodzinie wciąż powodowała ucisk w gardle. Ponieważ się nie udało, postarałam się o w miarę pogodny wyraz twarzy.

Anne przyglądała mi się przez chwilę. Wreszcie pokiwała głową.

– W takim razie, kochanie, miałaś dobry pomysł. Jestem pewna, że skoro już raz odnalazłaś tu szczęście, odnajdziesz je po raz kolejny. Niektóre miejsca i niektórzy ludzie po prostu do siebie pasują. Tak mi się wydaje. – Uśmiechnęła się serdecznie, a ja odwzajemniłam uśmiech.

Nie zdradziłam jej, jaki był drugi powód. Zapamiętałam to miejsce jako ostatnie, gdzie wszyscy troje byliśmy naprawdę beztroscy i radośni. Gdy tamtego lata wróciliśmy do domu, u mamy zdiagnozowano raka piersi. Umarła pół roku później, a my z tatą zostaliśmy sami.

– Jak długo masz zamiar tu zostać? – Słowa Anne wyrwały mnie z zadumy.

– Nie jestem pewna. Właściwie nie mam konkretnego planu. Tak czy siak, powinnam poszukać sobie zajęcia. Nie zna pani kogoś, kto potrzebuje pracownika?

Odstawiła szklankę na stolik.

– Tak się składa, że owszem, znam. W knajpce w miasteczku szukają kelnerki na poranną zmianę. Serwują śniadania i lunche. Byłam tam niedawno i widziałam ogłoszenie. Poprzednia kelnerka urodziła synka i postanowiła zostać z nim w domu. Lokal nazywa się U Norma i znajdziesz go przy samej głównej ulicy. Trafisz na pewno. Bardzo tam miło i zawsze tłoczno. Powiedz im, że Anne cię przysyła. – Puściła do mnie oko.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Będę pamiętać.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, popijając herbatę, wsłuchane w cykanie świerszczy. Co jakiś czas słyszałam nad uchem bzyczenie komara, z jeziora dobiegały odległe pokrzykiwania żeglarzy, a fale cicho chlupotały o brzeg.

– Spokojnie tu.

– Cóż, kochana, mama nadzieję, że się nie obrazisz, ale wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje spokoju.

Wypuściłam powietrze i zaśmiałam się cicho.

– Ma pani nosa – powiedziałam. – Wszystko się zgadza.

Ona również się roześmiała.

– Zawsze potrafiłam oceniać ludzi. Mój Bill mawiał, że nawet gdyby chciał, nie mógłby mieć przed mną tajemnic. To oczywiście również kwestia miłości i tego, że z czasem ta druga osoba praktycznie staje się częścią ciebie, a trudno ukrywać tajemnice przed samym sobą. Choć podejrzewam, że niektórzy próbują.

Przekrzywiłam głowę.

– Przepraszam, że pytam, ale jak długo jest pani wdową?

– Och, dziesięć lat już zleciało. Nadal za nim tęsknię. – Przez jej twarz przemknął smutek, ale szybko wyprostowała się i skinęła głową w stronę mojej szklanki. – Lubił dolewać sobie do herbatki kapkę burbona. Od razu się ożywiał. Oczywiście nie miałam nic przeciwko. On się uśmiechał, a mnie zajmowało to minutę.

Właśnie upiłam łyk herbaty i musiałam zasłonić usta, żeby jej nie wypluć. Przełknęłam i dopiero wtedy parsknęłam śmiechem. Anne mi zawtórowała.

Po chwili pokiwałam głową.

– Zdaje się, że w tych sprawach mężczyźni są dosyć prości.

– A my, kobiety, szybko się uczymy, prawda? – odparła Anne z uśmiechem. – Czeka na ciebie w domu jakiś chłopiec?

Pokręciłam głową.

– Nie. Mam kilkoro przyjaciół, ale poza tym nikt na mnie nie czeka. – Gdy tylko wyrzuciłam z siebie te słowa, nagle świadomość tego, jak bardzo jestem samotna, pozbawiła mnie tchu niczym cios prosto w brzuch. Duszkciem opróżniłam szklankę.

– Muszę iść – powiedziałam. – Bardzo dziękuję za herbatę i za towarzystwo. – Uśmiechnęłam się do Anne, a ona odwzajemniła uśmiech i również podniosła się z fotela.

– Nie ma sprawy, Bree, wpadaj, kiedy chcesz. Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Dziękuję, Anne. To bardzo miłe. Aha! Czy w miasteczku jest drogeria?

– Owszem, u Haskella. Wystarczy, że pojedziesz przez centrum tą samą drogą, którą tu przyjechałaś, a zobaczysz ją po lewej stronie. Tuż przed jedynymi światłami, więc trafisz na pewno.

– Dobrze, jeszcze raz dziękuję. – Pomachałam do niej ze schodków.

Kiedy szłam do domu po torebkę, zauważyłam na trawniku samotny dmuchawiec. Schyliłam się, zerwałam go i przyłożyłam do ust, a potem zamknęłam oczy i przypomniałam sobie słowa Anne.

– Spokój – szepnęłam i dmuchnęłam wprost w puchatą kulę.

Patrzyłam, jak nasionka fruną w powietrzu, niesione delikatnym wiatrem i miałam nadzieję, że zaniosą moją prośbę do kogoś, kto ma moc zmieniania marzeń w rzeczywistość.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bree

Kiedy dojechałam do cichego, nieco staroświeckiego centrum Pelion, właśnie zaczynało się ściemniać. Większość sklepów i lokali usługowych wyglądała na małe, rodzinne lub jednoosobowe biznesy. Ludzie przechadzali się szerokimi chodnikami między szpalerami wysokich drzew w rześkim zmierzchu późnego lata. Uwielbiałam tę porę dnia. Było w niej coś magicznego, coś, co pozwalało mieć nadzieję i mówiło: „A jednak udało ci się przeżyć kolejny dzień”.

Wypatrzyłam sklep Haskella i wjechałam na parking z prawej strony budynku. Sprawunki spożywcze mogły poczekać, ale potrzebowałam kilku podstawowych artykułów. Gdyby nie one, w ogóle bym tu nie przyjechała. Mimo pięciogodzinnego snu byłam zmęczona i marzyłam o tym, by walnąć się z książką do łóżka. Zrobiłam zakupy i wróciłam do samochodu. Zapadł zmrok, latarnie oblewały parking tajemniczą poświatą. Poprawiłam torebkę i właśnie przekładałam siatkę do drugiej ręki, gdy cienki plastik nie wytrzymał

i zakupy wylądowały na ziemi, a kilka przedmiotów potur-
lało się po betonie.

– Cholera! – zakląłam, schylając się, by je pozbiierać.

Wrzuciłam do torebki butelki z szamponem i odżywką, po czym aż podskoczyłam z przestachu, widząc kątem oka, że ktoś zatrzymał się obok. Podniosłam wzrok. Nieznajomy mężczyzna podał mi buteleczkę z ibuprofenem, która potoczyła się tuż pod jego stopy. Był młody, miał zmierzwi-
one, długie, lekko falujące brązowe włosy, które prosiły o wizytę u fryzjera oraz brodę, która była raczej efektem zaniedbania niż pogoni za modą. Mógł być całkiem przystojny, ale właściwie trudno to było stwierdzić. Miał na sobie dżinsy i opiętą na szerokiej piersi niebieską koszulkę z jakimś spranym, niemożliwym do odszyfrowania nadrukiem.

Wyjęłam fiolkę z lekarstwem z jego dłoni i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Nieznajomy miał oczy koloru whiskey, o głębokim wejrzeniu, ocienione długimi, ciemnymi rzęsami. *P i ę k n e o c z y.*

Kiedy tak na niego patrzyłam, poczułam, jak coś przeska-
kuje między nami w powietrzu. Miałam wrażenie, że gdybym spróbowała schwycić tę energię, dotknęłabym czegoś miękkiego i ciepłego. Zakłopotana, zmarszczyłam brwi, ale nie potrafiłam oderwać oczu od nieznajomego, który tymczasem odwrócił wzrok. Kim jest ten dziwny mężczyzna i dlaczego wciąż stoję przed nim jak wryta? Lekko potrząsnęłam głową, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

– Dziękuję. – Nie odpowiedział. Nadal patrzył w bok. – Cholera – zakląłam pod nosem na widok pękniętej siatki.

Nagle z przerażeniem stwierdziłam, że na ziemi leżą rozsypane tampony. *J a s i ę z a b i j ę.* Nieznajomy podniósł kilka sztuk i mi podał, a ja błyskawicznie wcisnęłam je do torebki. Zerknęłam na niego, ale jego twarz nie wyrażała

żadnych emocji. Po chwili pospiesznie odwrócił wzrok, a ja poczułam, że się czerwienię. Zdusiłam histeryczny chichot.

– Cholerne foliówki – prychnęłam, po czym dodałam: – Nie dość, że szkodzą środowisku, to jeszcze są zawodne. – Mężczyzna podał mi kilka migdałowych batoników oraz kolejny tampon, a ja wrzuciłam je do torebki. – Chciałam być przykładną obywatelką i używać wielorazowych, kupiłam nawet kilka ładnych wzorki... kropki, kwiatki... – Potrząsnęłam głową, wciskając do torebki ostatni z rozsypanych tamponów. – Ale wiecznie je zostawiałam w samochodzie albo w domu. – Pokręciłam głową. On wręczył mi jeszcze dwa batoniki. – Dzięki – powiedziałam. – Już sobie poradzę. – Machnęłam ręką w stronę ostatnich czterech batoników.

Spojrzałam na nieznajomego i znów poczułam napływające rumieńce.

– Były w promocji – wyjaśniłam. – Nie miałam zamiaru zjeść wszystkich naraz.

Podniósł je, nie czekając, aż sama to zrobię, ale choć na mnie nie patrzył, mogłabym przysiąc, że dostrzegłam minimalne drgnienie ust. Mrugnęłam, a kiedy otworzyłam oczy, nie było po nim śladu.

– Lubię mieć w domu czekoladę i raz na jakiś czas zrobić sobie przyjemność. Ten zapas starczy mi pewnie na kilka miesięcy. – Kłamałam. Wystarczy na kilka dni. J e ś l i d o b r z e p ó j d z i e. Prawdopodobnie pochłonę kilka już w samochodzie, w drodze do domu.

Mężczyzna wstał, więc zrobiłam to samo, zarzucając torebkę na ramię.

– Dziękuję za pomoc, uratował mnie pan i przy okazji... moje rzeczy... mój zapas czekolady. – Parsknęłam krótkim, pełnym zakłopotania śmiechem, ale zaraz potem lekko się

skrzywiłam. – Wie pan, byłoby świetnie, gdyby się pan nade mną zlitował i wreszcie się odezwał. Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu, ale natychmiast spowaźniałam, kiedy jego twarz jakby się zapadła, oczy zmętniały, a ciepły blask, który, gotowa byłam przysiąc, dostrzegłam zaledwie kilka sekund wcześniej, zastąpiła obojętność.

Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Niech pan poczeka! – zawołałam, ruszając za nim.

Po chwili zatrzymałam się i marszcząc brwi, patrzyłam, jak nieznajomy się oddala. Przyśpieszył kroku i truchtem wybiegł na ulicę. Gdy przeciął jezdnię i zniknął mi z oczu, ogarnęło mnie niewytłumaczalne poczucie straty.

Wsiadłam do samochodu i przez kilka minut siedziałam nieruchomo, rozmyślając nad tym dziwnym spotkaniem. Wreszcie zapuściłam silnik i właśnie miałam uruchomić spryskiwacz, kiedy zauważyłam coś na przedniej szybie. Pochyliłam się, by przyjrzeć się temu bliżej. Szkło oblepione było nasionkami dmuchawca. Lekki podmuch wiatru porwał ich puchate końce. Nasionka wzbily się w powietrze i pofrunęły w kierunku, w którym udał się nieznajomy tajemniczy mężczyzna.

*

Następnego ranka obudziłam się wcześniej. Wstałam, odsłoniłam rolety i spojrzałam na jezioro. Poranne słońce odbijało się od tafli wody ciepłym, złocistym blaskiem. Jakiś duży ptak poderwał się do lotu, a blisko przeciwległego brzegu majaczyła łódka. O tak. Mogłabym się do tego przyzwyczaić.

Phoebe zeskoczyła z łóżka i przysiadła u moich stóp.

– Co ty na to, mała? – szepnęłam. Ziewnęła.

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech.

CZY SĄ TAKIE RANY, KTÓRYCH MIŁOŚĆ NIE ZDOŁA ULECZYĆ?

Archer, obarczony niewypowiedzianym cierpieniem, mieszka w swojej samotni blisko lasu. Jest przekonany, że tylko tyle mu zostało.

Do pobliskiego sennego miasteczka przybywa Bree. Dziewczyna liczy na to, że w końcu odnajdzie rozpaczliwie poszukiwany spokój. Gdy spotyka Archera, jej początkowa nieufność zmienia się w rosnącą fascynację outsiderem. Próbując przedrzeć się przez warstwy niedostępności i dzikości, jakimi Archer przez lata zasłaniał się przed innymi, Bree powoli rozbiera go z kolejnych tajemnic.

Czy budzące się w ciszy uczucie uwolni ich od bolesnej przeszłości?

Ta powieść dotyka najczulszych strun ludzkiej duszy, uwarżliwia na los drugiego człowieka i w przejmujący sposób uświadamia, że najpiękniejszy dźwięk, jaki istnieje, to głos serca. Zakochałam się w tej historii.

Krystyna Meszka
cyrysia.blogspot.com

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-387-3



9 788375 153873

www.otwarte.eu

Cena detal. 34,90 zł

 SympatiaPlus.pl

 **sympatia.pl**

 **lubimyczytać.pl**